

Staraniem Redakeyi
BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ.

POWIASTKI

DOŁĄCZONE DO

WYKŁADU NAUKI CZYTANIA, PISANIA
i RACHUNKÓW.

WARSZAWA.

Sprzedaje się we wszystkich Księgarniach.

1862.

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cen-
zury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1862.

p. o. Cenzora,

J. Bleszczyński.

K.00/943/ 23



29.09

761-

W 143018
179741 1

1.

OKO BOŻE. (B)

Gospodarz Józef Dębski, poszedł do miasta na odpust, ze swoją żoną Maryanną, a w domu zostało ich dwoje dzieci, Janek i Anka. Janek już miał lat trzynaście, Anusia dwanaście. Umieli obsypywać kartofle, pomagać matce przy grabieniu, napalić i przygasić ogień; można więc było zostawić chatę pod ich strażą, i tak też uczynili rodzice.

Janek zaczął natychmiast gospodarować w izbie i komorze; zaglądał do wszystkich kątów, przetrząsał rzeczy, otwierał szafki, nie opuścił żadnego garneczka, ani dzbanka.

„Czego szukasz?“ zapytała się Anusia.

„Szukam czego dobrego i smacznego do jedzenia. Tu na półce są jabłka.“

Anusia odpowiedziała: „Jeżeli zaprowadzisz mnie w takie miejsce, gdzie nas nikt nie zobaczy, to i ja z tobą razem jeść będę te jabłka.“

„No to siadaj i jedz.“

„Tu nie można. Gdyby kto z sąsiadów zaszedł do izby, zobaczyłby nas i powiedział ojcu naszemu i matce.“

„No to pójdź do alkierza, tam stoi mleko w donicach, wypijemy z wierzchu śmietankę i zmówimy na kota.“

„Nie można, odpowiedziała Anka. Sąsiadka rąbie drzewo tuż przy oknie alkierza i zobaczyłaby co robimy.“

„Kiedy tak, to pójdźmy do komory, jest tam na policy garnek z miodem, posmarujemy nim chleb, który nam zostawiła matka.“

Anusia rzekła: „W komorze ciemno. Trzeba tam iść z drzazgą, moglibyśmy ogień zapruszyć i dom spalić, a przy tém stara Małgorzata, która mieszka o ścianę, zobaczyłaby że się świeci w komorze i powiedziała by tatulowi.“

„Jakażeś bojąca! zawołał Janek. Nie chcesz ty, to ja sam pójdę i najem się porządnie.“

„O mój braciszku! zawołała Anka, a była to bardzo rozsądna i dobra dziewczynka. I ty myślisz, że jest takie miejsce, gdzie nikt nie zobaczy co robimy? Wszakże ksiądz proboszcz naucza nas w szkółce i na kazaniu, że jest Bóg w niebie, którego oko dojrzy przez najgrubsze kamienne ściany i widzi jasno, pośród największych ciemności?“

Janek usłyszawszy te słowa, zamilkł i zamyślił się, a po chwili rzekł: „Dobrze mówisz kochanz siostrzyczko. Bóg wszędy jest obecny, a nawet i to widzi co robimy, tam gdzieby nas nie dostrzegło żadne oko ludzkie, więc nie grzeszmy nieposłuszeństwem i obżarstwem.“

„Zostawiła nam matka, rzecze Anka, po kawałku chleba, masła i séra, a więc nie będziemy głodni; a jak wróci, to nam zapewne da po jabłku, albo po szklance mleka. Pamiętajmy na tę naukę:

Choćbyś się w ziemię zakopał głęboko,
To wszędzie twoje sprawy, ujrzy Boskie oko.

ZŁOTOWIERZBA I SŁOMA.

Biedna wdowa, z dwoma niedorosłymi synami, wracała do domu z lasu Kampinowskiego, dokąd chodziła po opadłe gałązki. Wszyscy troje nieśli na plecach pęki związane powrósem.

Po drodze spotkawszy jakiegoś podróżnego, prosiła o jałmużnę. Był to bogaty fabrykant z Warszawy. Człowiek ten dał wdowie trzy dziesiątki i rzekł do niej: „Moja kobieto, po cóż masz zebrać? daj mi waszych synów a ja nauczę ich, jak można przerobić na srebro, gałązki i słomę.

Wdowa rozumiała że on sobie z niej żartuje, ale fabrykant zaręczył, że mówi na prawdę. Powierzyła mu dzieci swoje, on zaś jednego wyuczyć kazał koszykarstwa, a drugiego sztuki robienia kapeluszy ze słomy.

Po trzyletniem terminowaniu, powrócili do matki i zaczęli robić prześliczne koszyki i kapelusze. W ciągu kilku tygodni zrobili ich nie mało. Wtenczas fabrykant przyjechał do téj wsi, wszedł do chatki, pochwalił robotę i zapłacił srebrnemi pieniędzmi za ich wyroby, mówiąc: „Widzicie moja matko, żem dotrzymał przyrzeczenia.“

Nie dozna biedy ten, kto jest świadomy

Jak robić srebro z pręcików i słomy.

JASKÓŁKA.

Za powrotem wiosny przyleciały jaskółki do swoich dawnych gniazd, ulepionych pod dachem wieśniaka, a jego żona rzekła do dzieci: „Nie sprzeciwiajcie się i nie róbcie nic złego tym ptaszkom, bo temu kto wypędza jaskółki z domu swojego, szczęście się nie będzie.“ Tak się stało z naszym sąsiadem.

Najstarszy chłopak, Wojtek, zapytał się rodziców.

„A to dla czego?“

Ojciec mu odpowiedział:

„Oto dla tego, że jaskółki lubią dom cichy, porządny, gdzie nie ma wrzasku, kłótni, hałas; gdzie ludzie są dobrzy i miłosierni. Bo tacy ubogiego poratują czém mogą, a niewinnym ptaszynom krzywdy nie robią i przykazują dzieciom, żeby im się nie sprzeciwiały.

„Sasiad, o którym powiada wasza matka, zaprzestał trzymać się dawnych pocziwych obyczajów. Jego dziadowie i rodzice, z radością widzieli, że jaskółka lepi sobie gniazdo na poddaszu ich domostwa; miło im było, że te ptaki budziły ich co rano wesołem świergotaniem i wołały do pracy. Ale ich syn, tak ostry i przykry dla swojej czeladzi, jak dla zwierząt, i który nazwyczał się połowę nocy trawić w karczmie, gniewał się że jaskółki budziły go co rano i zepsuł ich gniazda. Gdyby nie był próżniakiem, byłby tego nie uczynił, a potem nie przyszedł do nędzy.“

Nie ma tam zgody szczęścia i uciechy,

Gdzie w sercu gnieźdzą się grzechy.

4.

JABŁKA.

Józefek zobaczył pewnego razu, mnóstwo jabłek leżących na ziemi, w ogrodzie sąsiedniego gospodarza. Czemprędzej przecisnął się przez dziurę w płocie, nazbierał jabłek, napchał nimi kieszenie i nakładł ich nie mało za pazuchę.

Aż wtem gospodarz nadszedł z kijem w rękę. Józefek chciał uciec tą samą dziurą, którą wszedł; ale obładowany się jabłkami, nie mógł się przecisnąć i uwiązł w płocie. Musiał oddać skradzione jabłka, a w dodatku, gospodarz wybił go należycie.

Z téj powiastki wynika prawda oczywista:

Nikt z grabieży nie skorzysta.

5.

DWAJ BRACIA.

Dwaj bracia poszli w świat daleki, szukać sposobu do życia. Starszy z nich, Tomasz, dostał na długi czas bez opłaty, łąn zarosłej i nieuprawnej ziemi. Pracował na niej gorliwie. Ile mu wolnego czasu zbywało, najmował się do roboty i tak po kilku latach, został porządnym i zamożnym gospodarzem.

Młodszy, imieniem Antoni, poszedł dalej za góry i la-

sy, do kraju gdzie znajduje się piasek złoty, i zaczął szukać tego drogiego kruszczu.

Żył o głodzie i bardzo nędznie; ale nareszcie uzbiierał worek pełen proszku złotego i przyszedł do brata.

„Patrz bracie, rzekł do niego, czegom się dorobił. Wszystko to złoto należy do mnie. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem. Ale daj mi czémprędzej jeść, bo umieram z głodu i znużenia.

„Dobrze, odpowiedział Tomasz, ale pod warunkiem, że mi za każdy kawałek chleba dasz tyle złota, ile ten kawałek waży.

Chociaż to było niemiłosiernie drogo, Antoni musiał przystać na tę zamianę, bo tak był słaby, że już nie mógł iść dalej.

Za parę dni wszystkie złoto Antoniego, przeszło do skrzynki Tomasza, a on rzekł wtedy:

„Bracie, oddaję ci twoje złoto; nie jestem zdziercą i złym bratem, lecz chciałem cię nauczyć, że pieniądze nie stanowią szczęścia i że przez pracę pewniej i prędzej zarobimy na życie.

Bez trzosów złota ci są szczęśliwi

Których poczeiwa praca wyżywi.

SREBRNE DRZEWO.

Dzieci lubią żartować sobie z młodszych braci i siostr, i zwodzić ich. Antek miał już rok trzynasty, pierwszy

raz poszedł na robotę do pielienia buraków, a że to jest praca pilna, i wielu rąk potrzebuje, więc chociaż był takim nedorostkiem, płacono mu po dwadzieścia cztery grosze dziennie. Chodził przez dni pięć i przyniósł do domu w sobotę wieczorem, dwanaście nowiuteńkich dziesiątaków, świecących się jak najpiękniejsze srebro. Ojciec i matka pozwolili mu, żeby za te pieniądze kupił co mu się spodoba.

Ucieszył się niezmiernie i rachował, że w poniedziałek pojechawszy z ojcem na targ do miasteczka, za półtrzecia złotego kupi sobie nową czapkę letnią z daszkiem, trzy obrazki świętych po pięć groszy i trzy książeczki po dziesięć groszy, bo umiał czytać i lubił czytanie moralnych i pożytecznych książeczek.

Jego sześćioletnia siostrzyczka zapytała się.

„Powiedz mi Antku, z kąd się biorą takie piękne srebrne pieniążki?

„Srebrne pieniążki, odpowiedział swawolny Antek sadzą się w ziemię, jak groch szablasy; z nich wyrastają krzaczki, a na nich wiszą srebrne dziesiątaczki, jak strąki grochu.

To powiedziawszy zawinął pieniądze w papierek i schował do szufladki.

Nazajutrz w niedzielę poszedł z ojcem i matką do kościoła, a mała Kasia została w domu przy babce.

W poniedziałek, gdy już czas było siadać na wózek i jechać do miasta, Antek chciał wziąć swoje pieniądze; ale ich nie było w szufladce. Szukał, pytał się matki i babki, czy ich nie schowały gdzie indziej, ale jedna i dru-

ga nic o nich nie wiedziała. Gdy tak kłopotał się coraz bardziej, mała Kasia odezwała się.

„Ja braciszku zasadziłam twoje pieniądze w ogrodzie, żeby z nich wyrosły krzaczki z pięknymi srebrnymi strączkami.“

„Coś ty głupia zrobiła? krzyknął Antek, gdzieś je wsadziła? Pójdź, pokaż mi natychmiast.“

Biedna Kasia zestrachana, widząc że się Antek gniewa, zapomniała na którym zagonie powtykała w ziemię dziesiątaczki. Napróżno Antek, matka, i ojciec szukali i grzebali po grzędach; nie znaleźć nie mogli, a niepodobna było dla czterech złotych przewrócić cały ogród zasadzony grochem, marchwią, pietruszką i farbiarskimi ziołami.

Tak więc Antek stracił swój tygodniowy zarobek i nie miał za co kupić, ani czapki, ani książek.

Ojciec jego, człowiek rozsądny, wysłuchawszy téj całej przygody rzekł:

„Sameś sobie winien chłopaku. Nie trzeba kłamać nawet żartami, a z młodszych dzieci nie trzeba sztydzić i prawić im baśni. Uwierzyła ci Kasia i rozumiała, że coś bardzo mądrego robi, sadząc w ziemię dziesiątaki. Pieniądze stracone zapracujesz, a na całe życie będziesz pamiętał, że:

Kłamstwo chociażby na żart na nic się nie przyda,
A cóż z niego wyrośnie? strata i ochyda.

ORZECH.

Dwoje dzieci idąc koło ogrodu, znalazły duży orzech włoski, który spadł z drzewa i leżał przy drodze.

Są dwa gatunki orzechów, jedno leśne, tak zwane laskowe, które bardzo dobrze znacie, a drugie zaś włoskie; mające na wierzchu gorzką i niesmaczną powłokę, a pod nią orzech z twardą łupiną, którą trzeba rozbić, a dopiero w środku jest bardzo smaczne jądro.

Otóż więc te dzieci znalazłszy ów orzech, zaczęły się kłócić o niego.

— „Mój to orzech, mówił Piotrek, bo ja pierwszy zobaczyłem i zawołałem: oto jest orzech! a ty szedłeś i nie uważałeś na niego.“

— „Nie, to mój, odpowiadał Tomasz, bo ja go podniosłem.“

— „Boś mnie wyprzedził.“

I od kłótni i obelg byłoby przyszło do bitwy.

— „Ja was pogodzę, rzekł starszy i silniejszy chłopak, który nadszedł w tej chwili. Jakoż stanawszy między niemi, wziął im z ręki orzech, rozbił go i rzekł:

— „Połowa łupiny należy do tego, który go pierwszy zobaczył, a druga połowa do tego, który go podniósł, jądro zaś należy do mnie, za kosztą sprawy.

To mówiąc zjadł orzech i poszedł sobie. Dwaj chłopcy odurzeni, patrzali za nim jak gawrony i poznali że głupstwo zrobili, biorąc go za sędziego.

Więc nauczony tym drobnym przykładem
O lada fraszkę nie kłóć się z sąsiadem.
Bo zostanie, gdy będzie sprawa rozsądzona,
Dla ciebie czcza łupina, orzech dla patrona.

8.

DYNIA I ŻOŁĄDŹ.

Jadąc z jarmarku w wieczornój dobie
Siadłem pod dębem chcąc spocząć sobie;
Aże mie trunek rozmarzył trochę,
Zacząłem w głowie snuć myśli płoche.
Na cóż téż Pan Bóg, opatrny wszędzie,
Stworzył na dębie drobne żołędzie?
Na takim drzewie co sięga nieba,
Dynię zawiesić było potrzeba.
A w tém gdy żołądz spadła z wysoka,
Led-wiem nie stracił prawego oka.
Guz od żołędzi, to jeszcze fraszka,
Ale od dyni pękłaby czaszka.
Poznałem wówczas, Bóg wie co czyni,
Jam głupi, zem chciałem na dębie dyni.

9.

HUFNAL OD PODKOWY.

Narzekają ludzie na swoją nieszczęśliwą dołę, mówią,
że im się nic nie wiedzie, że przyjsć nie mogą do kawałka

chleba, że już taki los padł na nich i Bóg wie czego tam jeszcze nie wygadują, grzesząc przeciw Opatrzności Boskiej.

A z tém wszystkiém, gdyby pomyśleli uważnie i przypomnieli sobie w czém i gdzie zbłądzili, to przekonaliby się, że sami byli sprawcami biedy swojej.

W wiosce należącój do księstwa Łowickiego, zwanój Zduny, młody Stanisław Andrzejewski objął gospodarstwo po śmierci ojca. Był on posiadaczem włoki roli, a płacił czynszu złotych sto dwadzieścia. Miał parę koni, wóz porządny, krów trzy, miał był i owiec czterdzieści, ale musiał je sprzedać, żeby spłacić siostrę i spodziewał się, że się nowych dochowa. Te parę koni był kupił nieboszczyk ojciec jego na rok przed śmiercią; były one mierzyny grubo płaskie, dobre do roboty; ale nieboszczyk szczególnie przestrzegał tego, żeby jeden z nich, podręczny kasztanek, był zawsze okuty na cztery nogi. Dziwował się temu Stanisław i nie raz gadał: „Potrzebne to rzeczy! wszyscy nasi sąsiedzi mają konie nie kute, bose, i jeżdżą niemi po szosie aż do Łowicza, albo do Kutna, a przecież szkapy nie podbija się i nie okuleja.

„Jak które: odpowiedział ojciec. Nasz kasztanek ma bardzo miętkie kopyta; kiedym go kupił przestrzegano mię, żeby zawsze był okuty należycie. I dla tego téż tańiej mi go sprzedano: bo już raz, jak się podbił, to przez pół roku nie było z niego roboty.

Roztrzepany chłopak prędko zapomniał o słowach ojcowskich.

Gdy już zaczął gospodarować na swoją rękę, a było to w same żniwa, musiał pojechać w Niedzielę do Łowicza,

a od Zdun jest półtóry mili do tego miasta. Okulbaczył kasztanka i siadając spostrzegł, że podkowa słabo się trzyma. To nic nie znaczy, rzekł sam do siebie i pojechał.

W drodze odpadła podkowa, podniósł ją i schował. Nie ma kuźni przy drodze, więc musiał jechać dalej; koń podbił się i zaczął mocno utykać na nogę. W mieście nie chciano mu podkuć konia, tém bardziej że to była Niedziela i odpust razem: musiał więc wracać tak samo jak przyjechał. W połowie drogi koń tak mu zakulał, że ledwie przyciągnął go do domu, prowadząc go za uzdeczkę.

Nazajutrz, kowal miejscowy obejrzawszy kopyto, rzekł: Biedę będziecie mieli Stanisławie z tą szkapą: dostała zapalenia w pecinie; daj Boże, żeby za dwa miesiące można w nią robić. A jeżeli kopyto złézie, to za pół roku nie wyzdrowieje.

— „O mój Boże! a czémże ja zwiozę zboże, czém potem zaorzę i zabronuję? Pszenica stoi w mędlach a tu się coś na deszcz zanosi.“

— „Najlepiéj będzie, jak sobie kupicie innego konia, rzekł kowal, bo na tego rachować nie możecie.“

Pojechał Stanisław na drugim koniu do Łowicza, szukać pieniędzy. Przedał pszenicę, tę co stała jeszcze w mędlach, korcy pięć po trzydzieści złotych, to jest o talar taniej jak była w targu. Musiał to zrobić, bo z góry wziął pieniądze, a za to handlarzom trzeba drogo płacić i jeszcze wielka łaska, jeżeli komu dadzą pieniądze na dwa miesiące wprzód. Nie było konia do kupienia pod ręką; czekał więc cały tydzień i dopiero po długim szukaniu dostał starą i biedną kobyłę, za sto pięćdziesiąt złotych; ale nie było w czém przebierać. A tymczasem mędle

stały na polu, deszcz lał przez trzy dni i pszenica wyrosła. Kiedy dostawił ją do Łowicza, handlarz nie chciał jej przyjąć, bo on nie zakupił wyrosłą, ale zdrową. Skończyło się na tém, że za korzec musiał mu dać dwa, a tak za całą pszenicę, z której miał zapłacić czynsz do skarbu i zasługi parobkowi, dostał klacz nie wartą i stu złotych. Trudno mu było żywić trzy konie; sprzedał więc owego kalekę za dziesięć rubli. I tylko co dobił targu i konia jeszcze kulejącego wyprowadzono, zdechła mu owa kupiona szkapa. Na kupno trzeciój i na czynsz, musiał zapożyczyć się i to na gruby procent. O przykupie owiec już ani mowy nie było. Jak się téż bięda wcisnęła do jego domu, to już wyléźć nie chciała. Wyjałowiły się grunta, zboże sprzedawał jeszcze na pniu, najtaniej ze wszystkich, a to ledwie starczyło na prowizyą. Znowu na drugi rok nie było z czego czynszu zapłacić i trzeba było dopożyczyć i tak w trzy lata dłużny był ludziom więcej jak 2,500 złp. Chałupa i stodoła obdarły się i zaczęły się walić, a nie było za co kupić drzewa. Prowizya od długu większa już była od całego dochodu z gospodarstwa. Stanisław zaczął pić na fantazyą i chciał swoje kłopoty w kieliszku utopić. Jeszcze tak biedował przez dwa lata, nareszcie za dług i trzyletni czynsz, sprzedano jego osadę i nic mu się z niej nie zostało. Mieszkał na przykomorném i żył z tego, co z dnia na dzień zarobił. Obdarł się, opuścił i skończył na tém, że tłukł kamienie do szosy, bo do innéj roboty już się nie zdał. I tak umarł po kilku latach. Żona jego została uboga, ale że była pracowitą i pobożną niewiastą, więc odchowalała swoje dzieci i żyje jak może, ale nie w nędzy.

Zkądże się zaczęło nieszczęście Stanisława?

Oto z małej rzeczy, że nie-kazał przymocować podkowy koniowi swemu.

Kto małej rzeczy naprawę odwleka,
Ciężkiej się szkody i zguby doczeka.

10.

POKUSA.

Michałek, szesnastoletni chłopak, wracał z miasta, dokąd wójt gminy posłał go z raportami, żeby je oddał na poczcie. Zaskoczyła go noc w połowie drogi, a że właśnie przechodził koło młyna, zatrzymał się tam, i prosił młynarza o nocleg. Młynarz był dobrym i uczciwym człowiekiem, dał mu wieczerzę i pozwolił mu przespać się w pierwszej izbie. Przyniesiono mu siennik i poduszkę, a przyodział się kapotą swoją. Obudziwszy się w nocy, usłyszał jakieś tykotanie; spojrzał w około siebie i przy świetle księżyca zobaczył zegarek, zawieszony na ścianie. Ogarnęła go szatańska pokusa, żeby ten zegarek zabrać i z nim uciec. Już rękę wyciągnął do niego, lecz w tém przypomniał sobie siódme przykazanie Boskie: „Nie kradnij,” ruszyło go sumienie i dał pokój. A gdy znowu złą, chęć zaczynała go ogarniać, zerwał się z posłania, a bojąc się, żeby nie uległ pokusie, otworzył okno, wyskoczył z izby na dziedziniec i poleciał jak gdyby go ktoś gonił. Ubiegłszy paręset kroków, zatrzymał się; znowu go coś

ciągnęło, żeby się wrócił i skradł zegarek, ale przemógł się, uczynił znak krzyża świętego i poszedł dalej. Księżyc tymczasem zaszedł, a Michałek wszedłszy w zarośla, przez które ciągnęła się droga, zabłądził. Zobaczywszy przed sobą jakąś drożynę, poszedł nią i dostał się na czyste pole, a tam na wzgórku pokrytym darnią położył się i wkrótce zasnął. Rano obudziło go przeraźliwe krakanie, otworzył oczy i o mało nie zemdlął ze strachu.

Leżał pod szubienicą, na placu za miastem, a nad głową jego wisiał trup złodzieja, którego mnóstwo kruków dziobało. Na ten okropny widok, jakiś głos odezwał się w głębi jego serca. „Patrz, i ty byłbyś skończył na szubienicy, gdybyś był uległ pokusie i dopuścił się kradzieży“ Uczuł jak największą wdzięczność za łaskę Boga, który ocalił go od tak wielkiego niebezpieczeństwa i grzechu.

Opieka boska i pobożność nasza,
Pokusę od nas odstrasza.

11.

CUDOWNA SKRZYNECZKA.

Pewna wdowa, właścicielka gospodarstwa na trzech włókach, narzekała że jój gospodarstwo źle idzie, że co dzień jakaś jój się szkoda przytrafi. Mówiła sobie że ja ktoś oczarować musiał i poszła na radę do księdza kazno-

dzieci z pobliskiego klasztoru OO. Karmelitów. Opowiedział mu wszystkie swoje straty, prosiła żeby z niej zdjął urok, który rzuciła na nią jakaś zazdrośna sąsiadka. Było to w owym czasie, kiedy lud ciemny i zabobonny, wierzył jeszcze w czarownice i uroki i nie raz pokrzywdził jaką starą i biedną niewiastę, mając ją za czarownicę. Ksiądz Hippolit kaznodzieja, kazał żeby poczekała w kruchcie, a za chwilę powróciwszy, przyniósł malutką i zamkniętą skrzyneczkę.

„Niechże jójmość pamięta moje słowa, rzekł do niej: Trzeba, żebyś obnosiła tę skrzyneczkę trzy razy na dzień, po czeladnicy, strychu, piwnicy, oborze, chlewach, stajni, ogrodzie i dziedzińcu, a zaręczam, że polepszy się gospodarstwo jójmości. Przez cały rok czyń jójmość to samo, a po roku odnieś mi skrzyneczkę.

Kobieta usłuchała rady księdza kaznodziei i regularnie trzy razy na dzień obnosiła skrzyneczkę po wszystkich zakątkach domu. Nazajutrz poszedłszy do piwnicy, natrafiła na parobczaka, który toczył sobie dzban piwa. Gdy późno w nocy zajrzała do izby czeladniej, zobaczyła, że dziewczki paliły wielki ogień na kominie i smażyły sobie jajecznicę, nie przestając na tém, co im wydała na wieczerzę. Doomyśliła się teraz, jaki to jest ów robak, który wykrada jaja z pod kur, tak że nie mogła dotąd kurcząt nasadzić, a cóż dopiero uzbierać jaj na sprzedaż. W oborze zobaczyła krowy po pas w gnoju stojące i głodne. Też samo było w stajni; konie wychudłe, miały za drabką garść słomy, a żyd pachciarz wynosił siano, które zakupywał od parobka. I tak wszędzie natrafiła na nieład i kradzież. Przekonawszy się o tém, odprawiła

czeladź i przyjęła za parobka, statecznego i uczciwego człowieka, który jęj dobra doglądał. A przytem sama obnosząc skrzyneczkę, zaglądała wszędy.

Rzecz oczywista, że gospodarstwo szło lepiej, przychód był i mogła zapłacić zaciągnięte długi. Po skończonym roku, poszła do księdza kaznodziei i rzekła uradowana.

„Teraz, Ojczy dobrodzieju, gospodarstwa idzie u mnie jak najlepiej; ale niech mi dobrodziej jeszcze na rok zostawi tę skrzyneczkę: w nięj musi być jakieś cudowne lekarstwo.

Ksiądz kaznodzieja, zaczął śmiać się i rzekł: „skrzyneczki nie mogę zostawić, bo mi jest potrzebna; ale jejmości daruję lekarstwo w nięj zamknięte, o którego cudownym skutku już się przekonałaś.“

To rzekłszy, otworzył skrzyneczkę, a wdowa zdziwiła się bardzo, zobaczywszy, że tam nic nie ma, prócz kawałka papieru z takimi słowami:

Pańskie oko konia tuczy,
Tak przysłowie stare uczy.

12.

ŻEBRACZKA.

Będzie temu lat sześćdziesiąt z okładem, jak w Lubelskiem był wielki nieurodzaj, a pomór i bięda spadła na ludzi.

Nieznajoma uboga niewiasta, weszła do wioski zwanęj

Lipnice i prosiła o wsparcie. Biednie była ubrana, ale dość czysto. W kilku chatach wypchnięto ją za drzwi, z krzykiem i łajaniem, w innych dano jęj bardzo lichą jałmużnę. A nie była to wieś najuboższa ze wszystkich; przeciwnie, jęj gospodarze lepiej się mieli jak drudzy i nie gonili ostatkiem. Jeden tylko wieśniak, podobno najuboższy, poprosił tę żebraczkę, żeby usiadła i odpoczęła; a jego żona litościwa, poczęstowała ją szklanką mleka i kawałkiem chleba.

Nazajutrz zawołano przed pałac, wieśniaków włości książęcych, żeby ich poratować, ile który potrzebuje. Każdej wiosce przeznaczono osobne miejsce. Księżna i plenipotent jęj, pytali się każdego z gospodarzy, czy im wystarczy zboża do nowego zbioru i jednym dawali pieniądze, drugim kwitki do książęcego spichrza. Gdy się zbliżyli do gromady złożonej z mieszkańców Lipnicy, księżna rzekła: „Pomoc moją zastosuję do miłosierdzia, jakie okazaliście dla ubogich. Jest was piętnastu, a tylko jeden wykonywa miłosierdzie chrześcijańskie. Chciałam przekonać się o sercu waszém, i chodziłam wczoraj od chaty do chaty, za żebraczkę przebrana. Nie usłyszałam nigdzie dobrego słowa, tylko ten gospodarz: i wskazała na kmiotka, który nieśmiało stał za drugimi: opatrzył mnie tém, na co go stać było. Jemu przeznaczam drugie tyle roli i kwit na sześć korcy zboża. A wy radźcie sami o sobie. Nie mieliście litości nad ubogim, nie będę jęj mieć nad wami.

Jak zasłużycie na tym ziemskim świecie,
Taką po śmierci zapłatę weźmiecie.

ŚWIADEK NADZWYCZAJNY.

W Lubelskiem w gminie Bodzanowie, zdarzył się smutny i okropny przypadek. Wójt ściągnął podatek podymnego i liwerunkowego z całej gminy i polecił sołtysowi, żeby go odesłał do kassy powiatowej, przez gospodarza na którego przypadała kolój. A że to była gmina obszerna i liczyła więcej jak stu dwudziestu gospodarzy rolnych, przeto pieniędzy było więcej jak tysiąc złotych.

Gospodarz, który miał odwieźć pieniądze, był młody człowiek, mający lat trzydzieści kilka. Nie lenił się do pracy, ale miał tę wadę, że lubił zabawić się w karczmie i wypić jeden i drugi półkwaterek. Nazywał się Józef Dziewański. Wybrawszy się w podróż po południu, zatrzymał się przed karczmą, uwiązał konia u płota, a mając na sobie trzos zapięty, wstąpił na kieliszek wódki. Było tam kilku gospodarzy i parobków; zaczęła się gawęda; za jednym półkwatkiem poszedł drugi, za drugim trzeci, i tak minęła godzina. Zapomniał o tém, że go żona upominała, aby za dnia przejechał przez las, który ciągnął się więcej jak milę drogi i w którym nie raz napastowano podróżnych.

Nareszcie wstał z za stołu, zapłacił za wódkę i ruszył. Nazajutrz rano, podróżni jadący przez las, znaleźli ciało tego gospodarza leżące bez duszy, a koń uwikłany w krzakach, stał o kilkanaście kroków od drogi. Trzosa z pieniędzmi nie było. Dano znać do sądu i do naczelnika

powiatu, a tymczasem postawiono straż przy ciele zabitego. Jest bowiem taki przepis, że dopóki zwierzchność nie zjedzie na miejsce, nie wolno ruszać ciała i musi leżeć tam gdzie je znaleziono. Trzeciego dnia przyjechał sędzia, lekarz, urzędnik z bióra naczelnika powiatu i dowódzca żandarmeryi w powiecie. Sędzia oglądając ciało, przekonał się że śmierć nastąpiła od silnego uderzenia kijem w głowę, a przypatrując się uważnie, zobaczył odłamaną szczękę, leżącą niedaleko przy trupie. Podniósł ją nie mówiąc i schował.

Przyjechawszy do wsi, zawołali karczmarza i tych gospodarzy, którzy ostatnim razem pili i gawędzili z nieboszczykiem. Wszyscy udowodnili świadkami, że z karczmy poszli prosto do domu.

„Czy był kto więcj w karczmie? zapytał się sędzia.“

„Nikt, odpowiedzieli jednozgodnie.“

„Ale, ale, odezwała się karczmarka; przypominam sobie, że pasterz gromadzki przechodził koło karczmy, wtenczas właśnie, kiedy nieboszczyk Józef przywiązywał konia do płota. Widziałam że ten człowiek poszedł do lasu.“

Sędzia kazał przywołać pastucha.

Był to człowiek w średnim wieku, czerstwy jeszcze i silny; kulał na nogę, którą był złamał przed kilkunastu laty i podpierał się grubym kijem. Nie lubił ciężkiej roboty, nigdzie miejsca nie zagrzał i dopiero od Nowego roku zgodził się na służbę do téj wioski.

Zawołany, przyszedł, podpierając się na kiju.

„Gdzieś był onegdaj nad samym wieczorem? zapytał się sędzia.“

„W lesie, J Wielmożny sędzio! odpowiedział pastuch.“

„Po co tam chodziłeś? mówił dalej sędzia.“

„Po gałęzie do komina, odrzekł pastuch.“

„Jakto? po gałęzie nad samym wieczorem, a jakżeś ich mógł nazbierać po nocy.“

„Już były nazbierane i leżały na gromadzie: odpowiedział pastuch: ale nie mogłem zabrać ich od razu, więc drugi raz poszedłem nad wieczorem.“

„No, to musiałeś spotkać się z gospodarzem, którego zabito w lesie, zapytał się sędzia, bystro wpatrując się w pastucha.“

„Nie widziałem go na oczy moje, rzekł pastuch. Przysięgam na wszystko co jest najświętszego.“

„Nie przysięgaj i milcz; odpowiadaj na to o co się pytam; przybliż się.“

Sędzia spojrział na gruby kij pastucha i dostrzegł że przy końcu kawał szczepki odleciał od niego.

„Tyś zabił biednego Józefa! zawołał groźnym głosem; oto jest świadek przeciw tobie, którego sam Bóg przysłał, żeby zbrodnia nie uszła bezkarnie.

To mówiąc wziął kij z ręki pastucha, przyłożył do niego szczepkę znalezioną w lesie, która doskonale przystawała i oczywiście należała do kija.

„Gdzie są pieniądze? zawołał: mów natychmiast.“

„W lesie, pod wywrotem sosny; rzekł przestraszony pastuch, który widząc takiego nadzwyczajnego świadka swojej zbrodni, nie miał odwagi zapierać się dłużej.“

Po takiej odpowiedzi, zeznał następnie, że zobaczywszy jak Dziawański wchodził do karczmy z trzosem przewiazanym u pasa, wzięła go pokusa, żeby te pienią-

dze zabrać. Czatował więc na niego w lesie i nadjeżdżającego uderzył kijem. Od jednego uderzenia padł Dziański bezprzytomny. Wtedy zdarł z niego trzos i pobiegł w głąb lasu, nie wiedząc czy go zabił, czy tylko ogłuszył.

Pieniądze znaleziono nietknięte, zagrzebane w ziemi, a zabójca za wyrokiem sądowym skazany został na ucięcie głowy. Wyrok ten wykonany został w najbliższém miasteczku, w obec licznie zgromadzonego ludu.

Ten wypadek, przekonywa nas o niepojętych sądach Bożych. Bóg zawsze wykryje zbrodniarza, chociażby nikt z ludzi nie widział spełnionej zbrodni, a za narzędzie swojej sprawiedliwej pomsty, użyje rzeczy częstokroć tak drobnój i marnój, jaką była owa szczepka drzewa, odłamana od kija pastucha.

14.

D A B.

W dawnych czasach, kiedy królowie i książęta sami sądzili sprawy, dwóch kmieci, Jesionek i Dzierżga stanęli przed królem polskim Władysławem Łokietkiem.

Jesionek ozwał się w te słowa:

„Królu miłościwy! przed trzema laty, gdy wojewoda zawołał nas na wojnę, dałem sąsiadowi memu do schowania pół kopy groszy pragskich! bo go miałem za uczciwego człowieka. A teraz zapiera się i nie chce mi oddać mojej własności. (*).

(1) Grosze pragskie, nie były takie jak nasze teraźniejsze miedziane, i nie byłoby warto chodzić na skargę do króla, o taką

Dzierżga skrzyżował ręce na piersiach i zawołał: „Przysięgam na Boga w Trójcy Świętej jedyne go, że mi ten człowiek żadnych pieniędzy nie powierzył; musiał nieborak odejść od rozumu.“

„Jesionku! rzecze król, czy masz świadków, którzyby poparli przysięgą zeznanie twoje?“

„Na nieszczęście, odpowiedział Jesionek, nie było tam żadnego świadka, prócz starego dębu, który stoi na środku pola. Pod nim siedzieliśmy obadwa i tam rozstając się z nim, dałem mu skórzany worek z trzydziesto pięć groszami pragskimi.“

Dzierżga odpowiedział: „Gotów jestem zaprzysiąc Najjaśniejszy Panie, że tak nie znam tego drzewa, jak i pieniędzy, o które mnie napastuje ten człowiek.“

Król Władysław rzekł: „Jesionku, pójdź i przynieś mi gałązkę z tego dębu, o którym powiadałeś. Potrzebna jest do sprawy. A ty Dzierżgo zaczekasz dopóki on nie powróci.“

Poszedł Jesionek. — Za chwilę król rzekł:

„Jesionek nie powraca; dla czego spóźnia się tak długo? Dzierżgo, wyjdź na dwór i zobacz czy idzie.“

„Królu miłościwy! odpowiedział Dzierżga, on nie może powrócić tak prędko, bo ten dąb jest ztąd o dobrą milę drogi.“

„Bezbożny oszuście! zawołał król groźnym głosem. Chciałeś zaprzysiąc, żeś nigdy nie widział ani dębu ani

fraszkę. Ale grosz pragski był srebrny, a w owych czasach wart był przynajmniej ośmnaście złotych, a więc sprawa szła o sto talarów.

pieniędzy, a wiesz że do tego dębu jest mila drogi? Przekonałem się, że tak wiesz o pieniądzach jak o dębie i bezczelnie się ich zapierasz.“

Przestraszony Dzierzga padł na kolana i przyznał się do winy.

Król Władysław kazał go powiesić na tym samym dębie, za przywłaszczenie cudzej własności, a. bardziej za to, że gotów był dla marnego zysku krzywo przysiądz; co jest jedną z najcięższych zbrodni.

Wyjść musi na jaw każda złość ukryta,

A zbrodniarz sam się w własne sidła schwyta.

15.

P O Ż A R.

Około północy, kiedy wszyscy mieszkańcy wioski zagrożeni byli w śnie głębokim, wszczął się pożar we wsi Chlebowie, a pędzony gwałtownym wiatrem, ogarnął kilkanaście domów. Była to wieś kościelna, ludna, miała trzydzieści i kilka osady, a starym obyczajem chaty słomą kryte, stały jedna przy drugiej. Uderzono w dzwony, a mieszkańcy sąsiednich wsi obudzeni ich dźwiękiem i widząc łunę pożaru, spieszyli na ratunek. Na nieszczęście wszelka pomoc na nic się nie przydała. Było to w lecie, a więc suche poszycie zapalało się jak siarka, i zanim pierwsza pomoc nadbiegła, już jedna połać wsi stała w ogniu. Jaki to był krzyk! jakie okropne zamieszanie!

Każdy myślał o sobie, a nie zważał co się dzieje w około niego. Ci, których domy jeszcze się nie paliły, wynosili z pośpiechem na pole, swoje ubogie sprzęty; małe dzieci biegały i płakały, same nie wiedząc co robią. Bydło wyganiane z obór, tłoczyło się na powrót do ognia, a psy wyły żałośnie.

Z sąsiedniej wioski przyleciał z bosakiem do rozrywania ścian, żwawy i młody parobczak. Stefan Kowalczyk, tak go zwano po ojcu, przytomniejszy od innych, bo nie lękał się o własną chatę, zawołał na dwóch swoich towarzyszków i pobiegł z nimi na drugą stronę, gdzie ogień odpędzany wiatrem, dozwalał przystępu do palących się budynków.

— Dalej bracia! zawołał. Trzeba rozerwać bosakami te niedopalone ściany, a ogień nie będzie mógł przerzucić się na drugą połac wioski.

Gdy to mówił, usłyszał z palącego się domu przeraźliwe wołanie i jęk bolesny. Było to domostwo najzamożniejszego gospodarza w Chlebowie, który przed dwoma laty zrzucił swoją starą chatę, a w jej miejsce postawił dom porządny drewniany, pokryty dachówką i opatrzony dobrą polepą. Na nieszczęście stał on tuż przy małej starej chałupce. Płomień od niej przepalił szyby i wdarł się do izby; zapaliła się złożona w izbie kądziel, i ogień ogarnął wnętrze domu. Gospodarza nie było we wsi, pojechał za interesem gromadzkim do powiatowego miasta. Jego żona spała w alkierzu z dwunastoletnią córką, jedynym dziećciem, które jej pozostało z czworga zmarłych w dzieciństwie. Obudzona szelestem i hukiem ognia, już nie mogła uciekać drzwiami, bo jej płomień drogę zastąpił.

Pobiegła więc z dziewczyną na górę i tam stanawszy przy oknie w szczycie domu zrobioném, wołała o ratunek.

Płomień nie mógł dostać się tak prędko przez polepe ale powoli trawił pułap i belki. Biedna matka tuląc córkę do siebie, czekała co chwila kiedy się polepa zawali i ona razem z dziecieniem wpadnie w stos ognia tlejący u spodu. W takim była stanie kiedy ją postrzegł Stefan.

— „Ratunku! na miłość boską, wołała, ratunku!“

Spojrzał Stefan w około siebie, i na szczęście zobaczył drabie od woza, któremi zastawiono wnijsie do ogrodu.

— „Bracia! zawołał, przystawcie te drabie, przytrzymajcie je, a ja wnijdę po nich i wyniosę tę kobietę i jej córkę.

— „Co chcesz robić? zawołał Janek jego szwagier; czy nie widzisz, jak się palą belki w izbie; za chwilę załamą się i cały dach runie? Chyba chcesz dobrowolnie narazić się na śmierć?

— Komu Bóg śmierć naznaczył, odezwał się Józef jego sąsiad, ten musi umrzeć. Już tych ludzi nikt nie ocali.

— „Kto się w opiekę odda Panu swemu,“ zaśpiewał silnym głosem Stefan i porwawszy drabie przystawił je do otworu w szczycie. Przeżegnał się, a śpiewając dalszy ciąg pieśni:

„A całém sercem szczerze ufa Jemu, Nie dostąpi go żadna zła przygoda,“ wszedł na szczeble. Czwarty z porządku załamał się pod nim, ale schwyciwszy się za wyższe utrzymał się i stawiając nogi tuż przy osadach szczebli, dostał się na górę.

Biedna kobieta podała mu córkę; schwycił ją jedna

reka, a trzymając się drugą szczebli, zszedł na dół szczęśliwie.

Oddawszy dziewczę dwom swoim kumom, którzy ze strachem patrzali na niego z otwartymi ustami i po cichu pacierz mówili, wskoczył drugi raz na drabinę, żeby uratować matkę.

Z tą trudniej mu poszło. Odurzona dymem, wycieńczona strachem, padła bezprzytomna. Porwał ją na ręce i zaczął zstępować na dół. Jeszcze było więcej, jak dwa łokcie od ziemi, gdy załamały się szczeble i oboje spadli. W téjże saméj chwili zarwały się przepalone belki i krokwie, a kilkanaście dachówek padło na niego i na uratowaną.

Wtenczas, dwaj kumowie Stefana rzucili się do nich i odciągnęli od dworku, który wyglądał jak stos ognisty.

Odważny Stefan miał skaleczoną głowę i wybitą nogę. Niewiasta, prócz lekkiego potłuczenia, żadnej rany nie otrzymała.

Zbiegła się gromada ludzi, zanieśli ich do chaty, która stojąc za wiatrem, bezpieczna była od ognia i tam kował miejscowy znający się trochę na leczeniu, opatrzył Stefana.

Potém zaprzężono do woza, Stefan prosił gospodynię, którój życie uratował, żeby pojechała z córką do jego rodziców, gdzie znajdzie wygodę i wypoczynek. Zadosyć uczyniła jego żądaniu.

Drugiego dnia wrócił jój mąż z podróży i z wdzięcznością dziękował wybawcy swojej żony i dziecka.

Za parę tygodni, Stefan Kowalczyk był zupełnie zdrow. Pogorzelec Maciej Graba, był człowiek zabiegły i oszczędny. W cztery lata już i śladu nie było poniesionej straty. Dom porządny odbudował na nowo, w pięć lat po zdarzo-

nój pogorzeł, Stefan Kowalczyk pojął za żonę ową młodzieńką Basię, którą był uratował, a jej rodzice zdali mu gospodarstwo, gdyż był tak pilny i rządnym, jak odważny do ratowania bliźnich swoich.

16.

KRÓL KUMEM.

W mieście Radomiu w kościele farnym, jest stare malowidło po prawej stronie wielkiego ołtarza i wystawia jakiegoś króla z dziecięciem na ręku. Kościelny to tylko umiał powiedzieć, że to jest Kazimierz Wielki. Ale w starych księgach klasztornych dochowała się zapiska; o zdarzeniu, z którego powodu wymalowano ten obraz.

Król Kazimierz Wielki, zwany także i królem kmiotków, gdyż opiekował się ludem wiejskim bardzo troskliwie, lubił polowanie i często o mil kilka i kilkanaście wyjeżdżał w knieje. Zwykle miał kilku dworzan przy sobie, a że nie lubił przepychu, a do polowania nie trzeba sukien wytwornych, przeto w prostą szaraczkową kapocie, w czapce z barankiem siwym na głowie, z oszczepem w ręku i kordelasem u pasa, upędzał się za zwierzyną.

Pewnego razu pojechał do puszczy Kozienickiej, gdzie i teraz są wielkie bory, a w dawniejszych czasach były jeszcze większe. Przypadkiem odłączył się od swoich dworzan; ogary poszły za niemi, tropiąc zwierzę, a król sam pozostał i zabłądził. Daremnie wołał na dworzanina

który prowadził jego konia; nikt nie usłyszał jego głosu. Przy tém przeciskając się przez zarośla, rozdarł sobie kapotę w dwóch czy w trzech miejscach, a bóty zawałał brnąc przez bagna; krótko mówiąc nie wyglądał wcale na króla, ale raczej na dziada. Było to po południu w zimny dzień październikowy i Kazimierz Wielki myślał sobie, że mu przypadnie o głodzie całą noc przepędzić w boru i chyba wdrapać się na drzewo przed wilkami. W tém, na szczęście swoje, spostrzegł dobrze wydeptaną ścieżkę; poszedł nią zdając się na wolę Boga. Ścieżka ta zaprowadziła go do wioski zbudowanej nad brzegiem kniei, a składającej się z kilkunastu chałup.

Dobrze mi się nadarzyło; pomyślał. Przenocuję w chałcie a zarazem dowiem się jak téż tu obchodzą się z ludem wiejskim; czy nie cierpi biedy, czy go nie krzywdzą.

Żeby go nie poznano, a przynajmniej żeby go nie wzięto za żołnierza lub dworskiego ze służby królewskiej, uciął kordelasem kij dębowy, a schowawszy pod krzakiem swoją broń myśliwską, poszedł od chaty do chaty, w imię Boga prosząc o przytułek.

Ludzie w téj wiosce nie byli bardzo miłośnierni a może téż bięda i złe obęjście zakamieniło im serce.

— „Nie ma u nas miejsca, samiśmi biedni; odpowiadali proszácemu: idźcie sobie z Bogiem; a jeden z nich odezwał się:

— „Bieźcie człowieku do karczmy, na drugą wieś za borem, niedaleko ztąd; za godzinkę zajdziecie.“

— „Ależ ja nie zajdę, jestem strudzony i głodny! odpowiedział król Kazimierz; nie znam drogi, a tu mrók zapada.“

— „Niech Bóg opatrzy i prowadzi was; powtarzali nie-
użyci wieśniacy.“

Trzeba będzie wrócić po oszczep i kordelas pomyślał król, i jak żołnierz dworski rozkazem wymusić przytułek, którego mi z dobrego serca dać nie chcą. Ale zajrzę jeszcze do téj ostatniej chaty.

Było to najuboższe domostwo i nędznie wyglądało.

Wszedł król Kazimierz i stanawszy w progu, rzekł:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

— „Na wieki wieków, odpowiedział wieśniak.“

— „Dla miłości Boga, dajcie mi nocleg i posiłek, mó-
wił król, bo już dalej iść nie mogę.“

— „Wnijdziecie przyjacielu, rzekł gospodarz. Nie będzie
wam tu wygodnie; nie mały mam frasunek bo mi żona
chora, ale chętném sercem tém się z wami podzielę, co
jest w domu.“

Wprowadził go do izby i posadził na ławie przed ko-
minem.

W izbie było siedmioro dzieci. Jedno malutkie spało
w kolebce. Dziewczynka trzyletnia i chłopaczek cztero-
letni, także już spały w prostych łózkach a raczej koj-
cach; dwoje mające po lat sześć i siedm klęczało i modli-
ło się za zdrowie matki; dziesięcioletni chłopak pilnował
garnczka z kaszą zastawionego przy ogniu, a jedénasto-
letnia dziewczyna uchyliła drzwi od komory i ciekawie
przypatrywała się nowoprzybyłemu człowiekowi.

— „Odpocznijcie sobie przyjacielu, rzekł gospodarz do
gościa, poszukam czego na wieczerzę.“

Za chwilę przyniósł z komory kawał razowego chleba
i warząchew prasnego miodu.

— „Oto jest wszystko co mam w domu; kasza uwarzy się nie długo. Jedzcie przyjacielu razem z dziećmi mojemu, a ja muszę iść do żony.“

— „Oby wasz dobry uczynek przyniósł wam szczęście, tego wam życzę i nie wątpię że się tak stanie: rzekł król Kazimierz.“

— „Proście tylko Boga, żeby moja żona szczęśliwie odbyła słabość swoją; ja więcej nie pragnę.“

— „A więc jesteście szczęśliwi i w dobrym bycie? zapytał się król?

— „Mam z łaski Bożej wszystko, czego mi potrzeba. Na mojej roli wyżywię się z żoną i dziećmi. Mam gospodarną niewiastę, która uprzedzie len i wełnę, zrobi płótno i sukno na bieliznę i siermięgę; krowy dają nam dosyć mleka; a więc nie cierpimy biedy. Mam siedmioro zdrowych dzieci, i mogę pracować.

To rzekłszy poszedł do żony, która leżała w komorze; król tymczasem posilił się należycie i ogrzał przy ogniu. Za małą godzinę wrócił gospodarz uradowany, trzymając dziecko na ręku.

— „To jest ósme dziecko. Niech je Bóg łaskawy chowa zdrowo, jak te starsze.“

Król wziął dziecko na ręce i z dobrotliwym uśmiechem patrzył na nie.

— „Znam się trochę na ludziach, rzekł, i gotowém przysiądz, że to dziecko wniesie dostatek do waszej chaty.“

— „Wola w tém i łaska Najwyższego Boga, odpowiedział kmić.

Odniosł dziecko do matki, wrócił, posłał pęk słomy na podłogę i nakrył go grubém, ale czystém prześcieradłem.

— „Połóżcie się przyjacielu,“ rzekł do króla i spijcie spokojnie, i ja prześpię się przy was.“

Za chwilę zasnął snem spokojnym i mocnym, a król długo nie mógł zamknąć oczu i myślał sobie: Jak ten człowiek jest spokojny i szczęśliwy! On poprzestaje na swojej doli. Dalibóg, szczęśliwszy jest odemnie, bo ciągle kłopoty o bezpieczeństwo i porządek w kraju, ustawiczne zanoszone skargi przeciw uciskom starostów i rządców, nie zostawiają mi ani jednej chwili swobodnej.

O świcie obudził się wieśniak, wstał i król Kazimierz, a pożegnawszy się z gospodarzem, prosił go żeby zatrzymał się aż do jego powrotu z chrzciniami nowonarodzonego dziecięcia.

— Znam ja, rzekł, dobroczyнного człowieka, powiem mu, że tyle macie dziatka i namówię go, że dziecko wasze trzymać będzie do chrztu, a wam to wyjdzie na pożytek. Posłuchajcie mojej prośby i zaczekajcie. Dziś jest sobota; jutro pojedziemy z dzieckiem do kościoła. Ja tu będę z tym człowiekiem tak wcześnie, żebyście mogli zdążyć na sumę. A teraz bądźcie zdrowi, niech wam Bóg wynagrodzi waszą gościnność.“

I wypytawszy się o drogę do miasteczka Kozienic, poszedł król Kazimierz, pożegnany przez onego gospodarza, pocziwem słowem: „Niech was Bóg prowadzi.“

Nazajutrz już dwa razy słyhać było dzwon z pobliskiej wioski kościelnej, a ów nieznamy wędrowiec nie przychodził.

— „Nie ma za czém czekać, mówił sąsiad do gospodarza owego. Jakiś przybłąda, durzył was marnemi słowami, bo nie miał ani szeląga przy duszy i chciał was takim

gadaniem wykwitować za wieczerzę i nocleg. Już to ja miarkowałem, że mu źle z oczu patrzy, kiedy do mnie był przyszedł, prosząc o nocleg i strawę.

— „Mój Macieju, odpowiedział wieśniak, ja mu dałem to oboje, nie za pieniądze, ale dla miłości Boga, bo mię w imię Boże prosił o przytułek. A więc mi wszystko jedno, czy przyjdzie, czy nie przyjdzie. Ale już czas wielki, trzeba iść do kościoła,

W tem rozległ się po wsi jakiś hałas; jedne dzieciaki chowały się do sieni, inne stały w progu. Tentent co raz bardziej był mocniejszy. Kilkunastu jezdnych zajechało przed chatę.

Na czele wjechał mąż, już nie młody, ale przystojny; miał na sobie jedwabną złocistą opończę, zapiętą na złotą klamrę na szyi; łańcuch złoty spadał mu na piersi; czaple pióra powiewały u karmazynowej czapki, pięknym białym barankiem obszytą; w jednej ręce trzymał buławę z orłem srebrnym na wierzchu osadzonym, a drugą powściągał bystrego rumaka.

Giermek zeskoczył z konia, przytrzymał strzemie swe-
mu panu; ów mąż wszedł do chaty wieśniaka, a za nim kilku z jego orszaku.

— „To król Kazimierz! to król Kazimierz! rozległo się wołanie po całej wsi. Kobiety i dzieci wybiegły przed domy, a starsi z gromady zebrawszy się z pośpiechem, wzięli chleb i sól, i starym obyczajem położywszy je na polewaną misie, czekali na króla, stojąc rzędem przed chatą.

Zdumiony wieśniak spojrzał na wchodzącego monarchę i poznał w nim swego onegdajszego gościa. Zadzi-

wiony i przelekły, padł na kolana nie mogąc ani słowa wymówić.

— „Podnieście się gospodarzu, rzekł król Kazimierz: przyrzekłem, że wam przyprowadzę ojca chrzestnego; otóż ja sam nim będę. Przyjęliście mnie wedle mienia waszego; chcę się wam odwdziaczyć za wasze dobre serce. Mości pisarzu, odezwał się do jednego z panów, zapisz, że ja król, na wieczne czasy nadaję na własność... jakże wam na imie gospodarzu?

— „Andrzėj Trzaska; wybąkał odurzony wieśniak.

— „Nadaję na własność Andrzejowi Trzasce wieśniakowi z Podlesia, trzy włoki gruntu, sześć morgów łąki i furę rąbanego drzewa co tydzień, z moich lasów królewskich. A prócz tego, wypłaci mu podskarbi dwie kopy pragskich groszy, na zagospodarowanie się. Panie starosto, rzekł obracając się do drugiego pana: dom, stodołę i szopę wybudujecie temu poczciwemu człowiekowi, zaraz na przyszłą wiosnę, tak, żebym jak tu przyjadę na łowy jesienne, w roku przyszłym, da Bóg doczekać, wszystko zastał w porządku; bo niezawodnie tu wstąpię i odwiedzę mego syna chrzestnego. A teraz jedźmy do kościoła, bo już czas wielki.

— „Posłałem, odezwał się pisarz królewski, żeby zaczękano za waszą królewską mością.

— „To dobrze, ale zabierajcie się Andrzej. Andrzej przyszedłszy do siebie, schylił się do kolan króla i całując kraj jego szaty, dziękował za łaskę, na którą jak mówił, nie zasłużył ubogą ofiarą swoją.

Król wyszedłszy z chaty, zobaczył gromadę zebraną, czekającą z chlebem i solą.

Spojrzał na nią surowym wzrokiem i rzekł:

— „Żaden z was, onegdaj nie chciał mi dać kawałka chleba, chociaż go o to w imię Boskie prosiłem, a teraz ja król, nie przyjmuję waszój ofiary.

— „Najjaśniejszy Panie! zawołał Andrzej, daruj braciom moim, i nie czyn' tego wstydu naszój gromadzie. Toć i ja nie śmiałbym mieszkać we wsi, na którą spadłby taki ciężar wzgardy i niełaski twojój. Zły duch, szatan, olśnił ich oczy i ogarnął serca.

— „Nie szatan, odpowiedział król, ale wasza niedbałość na słowo Boże, które wam w kościele z ambony proboszcz ogłasza. A czy nie znacie przysłowia: gość w dom, Bóg w dom.“ — Ale na prośbę pocziwego Andrzeja, przebaczam winę waszą. Przyjmuję chleb i sól, a tu macie kilkanaście sztuk srebrnych pieniędzy, żebyście je rozdali między biedne wdowy i sieroty. Ale jeszcze jedno: sołtysem téj wsi będzie odtąd Andrzej Trzaska i on dopilnuje, żeby te pieniądze były na dobre użyte; a teraz bądźcie zdrowi.

Wieśniacy zawstydzeni i smutni, skłonili się aż do ziemi. Król wyruszył do kościoła na czele orszaku swego, a za nim pojechał wózek z dziecieniem i kumą, którą była stara pobożna matka Andrzeja.

Król podał dziecie do chrztu i nazwał je swoim imieniem Kazimierz. A gdy już trochę odrosło od ziemi, wziął je na swoją porękę, oddał do szkół i zapewnił mu los przyszły. Tem dziecieniem był Kazimierz Trzaska, potem sławny kaznodzieja. On to na wieczną pamiątkę, kazał ten obraz wymalować i zawiesić w kościele.

POWÓDŹ.

W kraju naszym nie ma wysokich gór, a więc nie zdarzają się u nas prędkie i gwałtowne powodzie. Po długich deszczach w lecie, albo po roztopach na wiosnę, wzbiera woda na rzekach naszych, ale zwolna i potrzeba na to trzech lub czterech dni. Mogą więc ludzie mieszkający nad brzegami, ujdź z dobytkiem swoim. A mimo tego, nie raz myślą sobie: od dawnych czasów nie doszła woda do naszej chaty, więc i teraz nie dojdzie: i siedzą spokojnie, chociaż rzeka podsunęła się pod ich budynki. Aż tu najczęściej w nocy, kiedy wszyscy śpią, woda przybiera, porywa bydło i zboże, a ludzie muszą uciekać pod strych, i tam czekać, dopóki rzeka nie opadnie. A jeżeli ich chata jest słaba, to ją woda obali, a wtedy już nie ma ratunku.

Dla tego też, pod czas wielkiego wezbrania Wisły, nieraz widać jak woda niesie stogi siana, sztuki drzewa z rozwalonych domów, bydło, a nawet i ludzi, którzy trzymając się kawałka belki, wołają o ratunek.

A ratować ich bardzo trudno, a nawet niepodobna, bo woda jest tak bystra, że czołmem dopłynąć do nich nie można.

O kilka mil za Krakowem, są wysokie góry, a rzeki Dunajec, Wisłoka i inne, które wpadają do Wisły, są wąskie i płytkie w czasie suchym i pogodnym, lecz po każdym ulewnym deszczu wzbierają gwałtownie i porywają wszystko na co natrafia.

Będzie temu lat trzydzieści i jeden, mieszkańcy

wsi Wrzosowo, nad rzeką Dunajcem wielkim leżacój, zebrali się na placu przed karczmą, a spoglądając w południową stronę na góry gęstą mgłą pokryte, mówili jedni do drugich: Już trzeci dzień jest tak skwarno i duszno, dziś będzie burza i ulewa. Trzeba natychmiast pospedzać bydło i owce z brzegów Dunajca, na górne pola i dać baczenie bo może być wielkie nieszczęście.

I każdy pobiegł po swoją żywiznę. Tak nagromadzały się chmury aż do zmroku; po północy zagrzmiało straszliwie, błyskawice przebiegły po niebie, uderzyło kilka piorunów, i potem spadł deszcz nawalny. Ulewa trwała przez cztery godziny, o świcie rozeszły się chmury i słońce zabłysło.

Wieśniacy przez ten czas klęczeli w izbach swoich, przed obrazami Matki Boskiej i prosili Boga, żeby ich zachował od śmierci, a ich chudobę od pożaru. Gdy się uspokoiło, wyszli ku brzegom Dunajca, chcąc zobaczyć co się tam dzieje.

Owa rzeka, wczoraj spokojna i wązka, wezbrała nagle płynęła zszumem, mętna, zapieniona, niosła kłody drzew, snopy zboża, kopy siana, sprzęty biednych włościan, sztuki zwalonych ścian i dachów. Z przestraczem przypatrując się temu widowisku, postrzegli płynące łódeczko, a w niem siedziała pięcioletnia dziecina, wyciągała rączki i słyhać było jój płacz i wołanie. Dwaj żwawi parobcy, litością wzruszeni, dopadli czółna, i puścili się na rzekę, żeby uratować to biedne dziecko. Już go doganiali, lecz w tém kłoda drzewa uderzyła w ich łódkę, o mało jój nie przewróciła, a tymczasem woda uniosła dalej łódeczko i dziecinę. Z ciężkim trudem sami uszli śmier-

ci. Dobili się do wybrzeża, zewsząd otoczonego wodą i pochwyciwszy za gałąź dębu, dostali się na suche miejsce.

Ale i tam nie byli bezpieczni, woda mogła przybrać, a wtedy jedynym ratunkiem było dostać się na drzewo, a jeżeli znowu deszcz lać będzie i rzeka nie opadnie, to mogą spaść w wodę z unżenia i sennaści. I w takiej bojaźni przetrwali resztę dnia i noc całą. Nazajutrz rano woda opadła, wieśniacy popłynęli do nich czółnem i z ziebniętych i wygłodniałych uratowali.

Łódeczko z ową dziewczynką popłynęło dalej. Bóg nie dopuścił, żeby uderzyło o jaką kłodę albo zawałę i o trzy mile z tamtąd dostało się na Wisłę. Ta wielka rzeka płynęła spokojnie, a przy lewym brzegu gdzie nurt był najmocniejszy, stał młyn zwany pływakiem. Tym, którzy nie widzieli Wisły, powiem, że młyny pływaki są zbudowane na wielkich statkach, a pęd wody obraca koła. Młyny takie są przymocowane grubemi linami do brzegu, a dochodzi się do nich pokładkach, które leżą na małych czółenkach. Na zime, młynarze prowadzą je w bezpieczne miejsce przy brzegu Wisły, albo do jakiej strugi, żeby ich kra nie potrzaskała.

Otóż więc, owa dziecina cudownie dotąd uradowana, byłaby wpadła pod koło i zginęła nieochybnie, ale postrzegł ją młynarz, wskoczył na czółno, zachwycił łódeczko bosakiem i przyciągnął do brzegu. Ow młynarz i jego żona byli poczciwi i miłosierni ludzie. Mieli pięcioro dzieci, ale chętnie przyjęli sierotę i tak ją chowali jak własną córkę. Dziewczynka jak to wam wspomniałem miała lat pięć, co można było poznać po jej wzroście i rozgarnięciu. Bielizna była na niej cienka, na przeście-

radle leżącym na posłaniu w łóżecku, wyszyte były litery: J. B. Na szyi, na sznureczku jedwabnym miała medalik Matki Boskiej, wyślacany, na którym też same litery J. B. wyryte były ostrym narzędziem. Młynarka schowała to prześcieradło, a medalik zostawiła dziewczynce i pilnowała, żeby go nie zgubiła. Wierzyła bowiem, że cudowna opieka Rodzicielki Bożej, uratowała dziecinę od oczywistej śmierci. Domyślała się, że to jest dziecko zamężnych rodziców, a medalik i prześcieradło dopomoga do ich odszukania.

Młynarz, w kilka dni po tém zdarzeniu, przeprowadził się na drugą stronę Wisły, doszedł aż do brzegów Dunajca, wypytywał się czy komu nie zginęło dziecko, ale niczego się nie dowiedział. Dziewczynka ta tylko umiała powiedzieć, że się nazywa Julcia panienka: że mama i tata wołali na nią Julcia, a służące zwały ją panienką. Nie wiedziała ani nazwiska rodziców, ani miejsca ich zamieszkania.

Julka, chowała się zatem u owych młynarzy, a trzeba wam powiedzieć, że on nazywał się Józef Adamowicz, a jego żonie było na imię Maryanna. Przy tem brzegu Wisły, stały w pobliżu trzy takie młyny; ich właściciele na wspólny koszt przyjęli nauczyciela, a tak sierota Julcia nauczyła się czytać, pisać i rachować. Było to dziecko łagodne, trochę smutne: może przypominało sobie lepszą dawniejszą dolę u rodziców: do grubiej pracy nie bardzo zdolne, ale za to niezmiernie prędko nauczyło się szyć i przez to bardzo było pożytecznem w domu; bo gdy skończyła rok dziesiąty, szyła i naprawiała całą bieliznę dla Adamowiczów i dla ich dzieci. Tak więc wypłacała

się robotą, za życie i przyodziewek. I tym sposobem dożyła do trzynastego roku życia.

W owym czasie, wielkie nieszczęście dotknęło tych poczciwych młynarzy. Przy puszczeniu lodów po wielkich mrozach, kra zgruchotała młyn, który był jedynem ich mieniem, a na postawienie innego nie mieli pieniędzy. Wtenczas, handlarz z pobliskiego miasteczka, który od lat kilkunastu męł zboże w ich młynie, naraił im miejsce u jednego obywatela, mieszkającego o sześć mil od Wisły w powiecie Stopnickim, który wybudowawszy we wsi swojej piękny młyn o dwóch gankach, chciał go trzymać na sobie przez rok lub dwa, żeby wymiarkować ile potem będzie mógł dostać rocznej dzierżawy:

— „Przenieście się tam panie Józefie mówił handlarz: to, jest dobry i rzetelny pan, ja was zarekomenduję jako uczciwego człowieka, a potem zobaczymy co dalej będzie.

Usłuchał Adamowicz téj rady, poszedł i zgodził się za młynarza za rocznem wynagrodzeniem i ordynaryą. Na Św. Wojciech przeniósł się z całą swoją rodziną do Bogdanowa, do majątku państwa Brockich.

W owym roku, wczesna była wiosna i już na dziesiątego Maja wszystkie drzewa okryły się liściem i kwiatem, a pola zazieleniały murawą. Dziedziczka wyszła nad wieczorem na przechadzkę i wstąpiła do młyna, chcąc poznać nowego młynarza i jego rodzinę.

Pani Brocka miała lat blisko czterdzieści; bardzo dobrotliwa i łagodna dla sług i włościan swoich, była smutna i zamyślona, ale nigdy nie mówiła o przyczynie swego smutku. Ludzie dworscy powiadali, że zapewne ubolewa po stracie czworga dzieci, które Bóg po-

wołał do chwały swojej. Wszedłszy do izby młynarskiej pochwaliła jój porządek i ochędóstwo.

— „Nasza to Julka tak wszystko uprzęta i czyści: rzekła młynarka, wskazując na dziewczynkę już dosyć sporą, ale delikatną, która trzymając bieliznę w ręku, podniosła się ze stołka, na powitanie dziedziczki.

Na wspomnienie tego imienia, wzruszyła się pani Brocka i rzekła wpatrując się w dziewczynkę, która z niej także oka spuścić nie mogła.

— „Julka! Julka! Dla jakiejże przyczyny daliście téj dziewczynce, imie, które nie jest zwyczajne między wami? Zapewne tak zwała się dziedziczka téj wioski, gdzieście wprzód mieszkali, a jój matka chrzestna? Ale, jakaż to miła dziewczynka!

To mówiąc zbliżyła się do Julki, pocałowała ją w głowę i zobaczyła jój szycie.

— „Dobrze szyjesz moje dziecko, rzekła do niej. Płótno nie jest cienkie, ale ścięgi są bardzo równe.“

— „To długa historia z tą Julką, odpowiedziała młynarka; ale cóż to obchodzi Wielmożną panią?“

Wyrazy te obudziły ciekawość pani Brockiej.

— „Bo to proszę Wielmożnej pani, tę dziewczynę Bóg nam przyniósł i Najświętsza Panna Marya.

— „Co? więc to nie wasza córka?“

— „A nie nasza; to sierota cudownym sposobem wyratowana od śmierci.“

— „Powiedzcie jak to było! zawołała dziedziczka.

Młynarka rozpowiedziała obszernie, wszystko o czém już wiecie: jak Wisła niosła łódeczko z pięcioletniem dziećciem, jak byłoby wpadło pod koło młynarskie, jak je

uratował jój mąż, jak potem uczyła się pilnie i jaką jest dla nich pomocą w domu.

— „I nie mogliście się dowiedzieć czyje to było dziecko? zapytała się pani Brocka, z niecierpliwością, która zaledwie wstrzymać mogła, przez ciąg opowiadania Andrzejewój.

— „Pytaliśmy się wszędy, a nawet po drugiej stronie Wisły w Galicyi, ale nikt nie zgłosił się po sierotę; a więc przyjęliśmy ją za córkę i nie żal nam tego.“

— „I czy nie miała na sobie jakiego znaku? zapytała się dziedziczka ze drżeniem, a tak była wzruszona, że nie mogąc ustać, siadła na ławce i oparła się o stólik.

— „Jaka téż niepamiętna jestem! odpowiedziała młynarka. Miała medalik Matki Boskiej Częstochowskiej na sznureczku jedwabnym i prześcieradełko, które mam zachowane w skrzynce. Medalik zawsze nosi na szyi pod sukienką.

Pani Brocka poskoczyła do dziewczyny, wyciągnęła medalik zawieszony na czarnej tasiemce, a dobrze przypatrzywszy się jemu, krzyknęła i zemdlęła!

Przestraszona młynarka pochwyciła panią, która byłaby jak martwa upadła na ziemię. Julka pobiegła do strugi, wróciła za chwilę, skropiła zimną wodą ręce i twarz pani Brockiej, a ta wkrótce przyszła do zmysłów i otworzyła oczy.

— „Julko! Julko! moje dziecko, moje kochane zgubione dziecko! to były pierwsze jój słowa.

Młynarka i jój mąż, który wszedł w téj chwili, nie wiedzieli co to wszystko znaczy. Lecz Julka słysząc te wyrazy pani Brockiej, przypomniała sobie rysy matki,

którą mając lat pięć, już dobrze znała, ale zapomniała o nich biedna; nie widząc matki przez pół ósma roku.

— „Pokażcie mi prześcieradło, rzekła dziedziczka.

Młynarka wyjęła je ze skrzynki i podała pani.

— „Oto jest cyfra mojej córki, rzekła: J. B. a na medaliku są też same litery, które mąż mój wyłobił nożykiem, na znak że to jest medalik naszej Julci.“

To rzekłszy, uklękła i po cichu modląc się, dziękowała Bogu za tak niespodziewane i cudowne odzyskanie straconej córki. Potem znowu płakała łzami radości i całowała dziewczynkę, która jej odpłacała się wzajemnymi pieścizotami.

Gdy się wszyscy uspokoili, pani Brocka opierając się na rękę córki, poszła do dworu i wzięła ze sobą Adamowicza i żonę jego, żeby zeznanie swoje powtórzyli przed jej mężem.

Pana Brockiego nie było we dworze, pojechał na drugi folwark; ale wkrótce powrócił, bo służący dopadłszy konia, przybiegł do niego w największym pędzie i rzekł:

— „Wielmożny panie! cud się zdarzył we dworze; pani znalazła swoją panienkę i przysyła mnie, żeby Wżny pan jak najprędzej przyjeżdżał.

— „Jaką panienkę? co ty gadasz?“

— „Tę dziewczynę od młynarza, który sprowadził się na Śty Wojciech. Ja tam nie wiem i nie rozumiem, ale niech Wżny pan jedzie, to się dowie.

Ojciec niemniej ucieszył się jak matka. Przekonał się najdowodniej, że to jest ich córka, którą za utraconą mieli. Wynagradzając pocziwego młynarza, dał mu na własność osadę, półtory włóki obejmującą, a młyn wypu-

ścił na lat piętnaście w dzierżawę, za bardzo umiarkowaną cenę. Oprócz tego, dwóch synów jego uczył własnym kosztem w szkołach, a oni potem wyszli na zdatnych fabrykantów i dorobili się znacznego majątku.

Panna Julja Brocka, bo tak ją trzeba nazywać, prędko nauczyła się tych nauk, które dziedziczka pięknego majątku umieć powinna. Ale nie shardziała wcale, kochała dzieci młynarza z którymi się była wychowała, a gdy dorosła, lud wiejski znalazł w niej opiekunkę i matkę.

* * *

Może kto z was chciałby wiedzieć, jakim sposobem państwo Broccy stracili córkę swoją i pewni byli, że ona już nie żyje. Tak się rzecz stała.

Było to w smutnych czasach wojennych. Pan Brocki z żoną i córeczką zmuszeni uciekać z domu, przewieźli się czółnem na drugą stronę Wisły, a tam najawszy wózek pojechali boczną drużyną i stanęli na noc w biednej chacie, nad brzegiem Dunajca. Skutkiem straszliwej ulewy, o której powiedzieliśmy na początku tej powieści, wezbrana rzeka nagle wystąpiła z brzegów. Państwo Broccy spalili oboje, kiedy gospodarz obudził ich, krzyząc, ratujcie się, bo zginiecie! Wybiegli z chaty, a w tem matka postrzegła, że nie zabrali spiaczej córeczki. Ojciec biegł po nią, lecz chata stara i wąła zawaliła się w ich oczach; gospodarz i furman gwałtem porwali i zaprowadzili na wzgórze, nieszczęśliwych rodziców, którzy narażając się na śmierć nieomylną, chcieli biedz do szczątków zniszczonej chaty, żeby dziecię swoje ratować. Za chwilę nie zostało ani śladu chaty i nie było żadnej wątpliwości, że ściany

walące się, przygniotły dziecko, a potem je woda zabrała.

Państwo Broccy znaleźli bezpieczne i gościnne schronienie u ciotecznego brata, o cztery mile ztamtąd, a potem powrócili do kraju. Matka przebyła ciężką chorobę i o mało życiem nie przypłaciła straty córki.

Ale Bóg miłosierny inaczej rozporządził losami dzieciny, ocalił jój życie, oddał ją w ręce dobrych ludzi, a potem powrócił ją rodzicom, żeby była pociechą ich starości i opiekunką biednych.

18.

CHATA MACIEJOWA

albo

BÓG ZASMUCI, BÓG POCIESZY.

napisał

Zygmunt Migurski.

Była właśnie Wielkanoc, a dzień był jasny i ciepły, gdy pobożny ludek koło południa wyszedłszy z kościoła, po wysłuchaniu Mszy świętej ciągnął do chaty, aby darami Bożemi się posilić.

A więc najprzód hoże dziewczki i młode parobczaki w szaty świąteczne przystrojeni, dalej gospodynie spieszyły, aby jeść mężom przygotować, a na końcu zwolna się posuwa kilku staruszków: to ojcowie gromady. Gwara sobie o dawnych latach, a nie jeden westchnie i łzę obetrze, wspomniawszy swoją młodość i szczęście. Jeden tylko strasznie jakoś musi być zadumany, bo i odłączył się od swoich, i głowę spuściwszy na piersi, idzie nic nie

widząc przed sobą, a niekiedy przystaje i ręce do góry wznosi. Oj! nie lada frasunek musi mieszkać w jego sercu, kiedy nawet po Mszy Wielkanocnej, czoło jego się nie rozjaśniło, ani serce ze Zmartwychwstania Pańskiego nie rozradowało się.

Przyszedł nakoniec przed chatę nie źle zabudowaną, a uchylwszy wrota, wszedł do niej. Tu on się rodził i wychował, tu się nakoniec zestarzał; wejdźmy za nim, może się choć o smutku co go gniecie, dowiemy. W izbie dość brudnej i zaniedbanej, stoi duży stół dębowy i ławek parę, a kilka skrzyń dużych pod ścianą stojących a niegdyś napełnionych, dowodzą, że ich gospodarz musiał być za możny i na niczem mu nie zbywało; dziś stoją one próżne, i tylko biedę domu tego pokazują. Na ścianie wisi parę obrazów świętych, a największy z nich to obraz Najświętszej Panny Maryi Częstochowskiej, przed którą lampka słabym płomykiem goreje; widać, że ludzie tu mieszkający, nabożni być muszą, kiedy o chwale Bożej pamiętają. Oj! módlcie się pocziwie ludziska, a módlcie się szczerze, aby Bóg dobry odwrócił od was nieszczęście, jakie na wasz dom spadło. Widać że was Bóg umiłował, kiedy za jakieś dawne grzechy, teraz na was karę zsyła, abyście w przyszłym życiu wolni od niej byli.

Otóż ten staruszek, a zwał się Maciej Płonka, wszedł do izby, a przeżegnawszy się wodą święconą w naczyniu glinianém będącą, poszedł prosto do alkierza, do którego drzwi z prawej strony izby prowadziły. Tam na łóżku leżała chora, pięćdziesięcioletnia kobieta; to była jego żona Katarzyna; musiała ona być bardzo chora, bo niekiedy boleśnie jęczała, a twarz jej była tak blada, jak chusta,

która jęj głowę okrywała. Skoro ujrzała męża swego, podniosła trochę głowę, i cichym głosem rzekła:

„I cóż Macieju, czy nie widziałeś Janka?“

„I z kądże miałem go widzieć, kiedy go nikt od kilku tygodni nie widział, prócz kulawego karczmarza, a i on już zaczyna na propinacji tracić, bo nikt z wsi całej oprócz Jędrucha, co się przywłókł zkądś i naszego Janka do zguby prowadzi, tam nie bywa. Bo téżto i grzech wielki przed Panem Bogiem, aby katolik z djabełem trzymał i na ludzką duszę czatował, a ostatni grosz z niego ciągnął. Póki ten włóczęga do wsi nie przylazł, to i syn nasz mając Boga w sercu pracował i kochał nas, a my na starość jaką taką mieliśmy pociechę, a teraz.“ I tu stary podniósł rękę do oczu, a łzy jak groch potoczyły się po jego wychudłych policzkach.

„Nie frasuj się próżno Macieju, odpowiedziała Katarzyna, już my nic nie poradziemy, a lepiej to ofiarować Panu Bogu na jego chwałę, a księdzu dać na Mszę świętą do Przemienienia Pańskiego, to może nas pocieszy i na dobre odmieni.“

„Dobrze bo ty mówisz Kasiu moja, zaczął znowu Maciej, usiadłszy na brzegu jęj łóżka, ale kiedy to żal za serce człowieka bierze, kiedy sobie wspomni co to było za dziecko, i do pracy zdatne, i Boga w sercu miało, a myśmy wszystkiego mieli do syta, że i drugim biedniejszym można było udzielić. Teraz gdzie zajrzeć, wszystko puste, i grosza złamanego nie znajdzie. Niedawno, bo zaledwie kilka tygodni temu, cieszyłem się że umrę spokojnie i pobłogosławie synowi, a może i wnukom, gdybym ich doczekał, ale widać że się tak podobalo Panu Bogu,

niech się dzieje wola Jego święta.“ Tu stary westchnął, opuścił głowę na piersi, a jego duże czoło jakoś się wygładziło i rozjaśniło; widać że wspomniał sobie coś miłego, albo zamarzył o polepszeniu bytu, a może i o spodziewaném szczęściu.

Potem wstał, a zmówiwszy krótką modlitwę, zjadł obiad, który mu dziewczyna ugotowała, spójrzał na łóżko a widząc śpiącą żonę, przeżegnał, ją i wyszedł po cichu z chaty.

Tymczasem w chacie Grzegorza sołtysa, zebrało się kilku gospodarzy, aby według dawnego zwyczaju, jajkiem święconém się podzielić, życząc sobie szczęścia i lat długich przy dobrém zdrowiu; zasiedli około stołu, i gwarzyli sobie popijając piwem, które im gospodarz z dzbanka dolewał.

Jakoś się wszyscy rozczulili, wspomniawszy biedę swoją, a którą każdy człowiek z bliska poznać musi, choć każdemu w inny sposób się przedstawia. Najprzód Marcin najlepszy gospodarz z wsi całej, myślał o dwojgu dzieciach które mu w jednym tygodniu pomarły; Jacek brat jego o ostatnim koniu, co mu zdechł kilka dni temu; Wojciech kum Macieja o opłacie czynszowej, którą wniesć trza było, a na którą nie miał pieniędzy; a Michał o reszcie zboża, którą wywiózł na targ z pustej stodoły, a do nowych zbiorów jeszcze było daleko. I tak się wszyscy zadumali, że się cicho w izbie zrobiło, tylko słyhać było z kąta ciche szepty młodych parobczaków i dziewcząt kilku, a z dworu dolatywały wesołe krzyki dzieci, pomieszane z ujada-

niem psów, które otaczały jakiegoś żebraka, kijem się od nich broniącego. W tém drzwi się otwarły i wszedł Maciej, a powiedziawszy zwyczajem katolickim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, uściśnął obecnych, którzy się z nim serdecznie przywitali, bo się szczerze z jego przybycia ucieszyli.

Już to tak jakoś dzieje się na tym Bożym świecie, że nieszczęście ludzi łączy i jednoczy, a kogo spotka jaki frasunek, to się rad z drugim dzieli, i troski swoje mu wynurza. Może téż Bóg umyślnie zsyła różne zmartwienia, aby się tu ludziska kochali, i wzajemnie sobie pomagali. Bo i wiemy o tém, że co dwóch, to nie jeden, i że dwóch zawsze sobie tam poradzi, gdzie jeden nie zrobić nie może; a jeżeli ludzie we wsi żyją w zgodzie jak bracia i pomagają sobie w nieszczęściu, a cała gromada jest tak jak jeden człowiek, tam i błogosławieństwo Boskie mieszkać będzie, i szczęście na dobre się zagnieździ, a biedy wtenczas to i ze świecą byś nie znalazł.

„Powinniśmy mieć żal do ciebie mój Macieju, przemówił wreszcie Grzegorz, bo i zupełnie już stronisz od nas, ale kiedyś przyszedł, to Bóg widzi, że żadnej już urazy do ciebie w sercu nie czujemy.“

„Oj! już mnie nie myśleć o zabawie i o szczęściu odpowiedział Maciej, za słaba moja głowa, aby się oparła takiej biedzie, jaka na mnie spadła.“

„Ot! dalibyście pokój z waszą biedą, rzekł Wojciech kum jego. Kiedy wam Bóg dał tak niegodnego syna co o was zapomniał, to i nie myślcie o nim, a weźcie się do pracy, to i z biedy się wygrzebiecie, i jakoś lepiej wam z tém będzie“

„Dobrze mówi Wojciech, przerwał mu Marcin, boć to nie sztuka za łada frasunkiem opuścić ręce i marnie zgiąć, ale trzeba się zdać w opiekę Boską i prosić Go o pomoc, to i zasługę w Niebie będziecie mieli i pociecha do waszego serca wstąpi.“

„A może téż i syn wasz się upamięta i na dobrą drogę wróci, przemówił Michał, a da Bóg, to i upatrzy sobie jaką pocziwą dziewuchę, to weselisko wyprawicie i będziecie szczęśliwi.“

I jakoś weselój się zrobiło, jak sobie swoje troski wypowiedzieli, i zaczęto żwawiej i głośniej rozmawiać, a popijając piwem, serdecznie się niekiedy całowali, mówiąc o swoich nadziejach, to o jarzynie, którą, już niedługo czas siać było, to o dzisiejszém kazaniu, to wreszcie o nowym młynie co go mielnik we wsi wystawił; jeden tylko Jacek cicho siedział i do rozmowy się nie wtracał, a niekiedy westchnął i w głowę się podrapał. Widać, że musiał sobie coś w myśli układać, i że był kontent z siebie, bo uśmiechnął się do siebie, i przysunął się na ławie do Michała, a na twarzy jego znać było, że chciał coś dobrego zrobić.

I tak gawędka dość długo się przeciągnęła, bo już się zmierzchać zaczynało, gdy Maciej powiedziawszy, że do chorój żony musi się spieszyć, pożegnał zgromadzonych.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Jacek powstał z ławy, i w te słowa do swoich towarzyszy się odezwał:

„Słyszeliście nie raz, jak Dobrodziej na ambonie gadał, że co człowiek robi drugiemu biedniejszemu, to mu Pan Bóg z procentem odda, otóż i ja sobie pomyślałem, żebyśmy co kto może ofiarowali Maciejowi, to i nic na tém nie

stracimy, a dla biednego to i ulga będzie w jego nie-szczęściu; a zresztą, czyż to nie jest brat nasz, i czy nie na jednej z nami urodził się ziemi, żebyśmy mu nie mieli dopomódz? Oj! braciaśmy wszyscy, bośmy dzieci jednej matki; jak bracia też kochać się powinniśmy.“ Tu przestał mówić i usiadł, a Grzegórz rzekł:

„Istnie to samo myślałem, ino nie wiedziałem, czy się wszyscy na to zgodzą.“

„Zgadzą, zgadzą, odpowiedzieli wszyscy, a Janek dołożył:

„A więc kiedy się zgadzacie, to póki chęć dobra, i kieszeń gotowa, to weźmy się do dzieła.“

I zaraz rozeszli się do domów swoich, a gdy niedługo wrócili, to każdy coś ze sobą przyniósł, ten zboża trochę, ów drobiu, inny słoniny kawałek, a Jacek dał srebrną piecizłotówkę, którą od kilku lat chował sobie. Ze wszystkimi temi darami wysłali Jacka, a żona jego poszła do chorągiew Katarzyny, aby jej ziółek zgotować i trochę rozweselić, a znana była we wsi całej z leków, jakie na wszystkie choroby umiała przyrządzać.

Gdy w Grzegorza chacie tak uczciwą prowadzono rozmowę, i tak dobry w końcu uczynek spełniono, zupełnie co innego było w izbie karczemnej. Tam na ławie siedziało dwóch ludzi, a przed niemi na brudnym dębowym stole, stała fiaszka z wódką, a obok niej półkwatki tym trunkiem napełnione. Jeden z tych ludzi, około lat trzydziestu mający, twarzy ogorzałej i niemiłej, był to ów Jędruch żołnierz dymissyonowany, co sam będąc na złej

drodze, i Janka syna naszego Macieja za sobą pociągnął; właśnie teraz wypił pełny półkwaterek, a nalewając sobie drugi, rzekł ochrzypłym od gorzałki głosem:

„I cóż ty dzisiaj nie pić nie chcesz, jakby ci kto gardło ołowiem zalał; przecież wódki jeszcze nie brakuje?“

„Ot! bo i jakoś już nie mogę, i głowa mnie boli, a przytem coś mnie dręczy i niepokoi; dziś mi się śnił stary ojciec, co był strasznie zafrasowany, a matka była tak blada jakby nieżywa.

„O! dziecko bo z ciebie; żeby jakieś sny wspominać i dla tego nie pić! tu przyłożył do ust półkwaterek, a dla jakiejś tam fraszki z kolegą nie trzymać. Tu znowu pociągnął wódki i rzucił błędnym wzrokiem na Janka, który podparł się i głęboko zadumał.

„Patrz na mnie, rzekł Jędruch popijając, póki tylko jest za co, to piję; dobrze to tam ktoś powiedział, na fraszunek, dobry trunek, bo jak się człowiek dla otuchy napije, to i o wszystkim zapomni. I znowu człowiek ten, którego Bóg opuścił, podniósł do ust półkwaterek, a wypróżniwszy flaszkę, o nową po chwili zawołał.“ Oj! biada takiemu, co zapomniawszy Boga, odda się pijaństwu, bo choćby i chciał później się naprawić, to mu trudno przychodzi, bo z nałogu ciągle pić będzie, a wódka tak mu głowę obalamuci, że i pomyśleć nad sobą nie jest w stanie.

Gdy tedy nową flaszkę już dobrze pijanemu Jędruchowi podano, on ją do ust przyłożył, i zaczął pić bez miary, a twarz jego piekielnie się wykrzywiła. Pił tak ciągle, a i tę wypróżniwszy o nową zaczął się domagać, ale gdy szynkarz zażądał zapłaty i więcej dać nie chciał, pobiegł do stołu i wychylił półkwaterek stojący przed Jankiem, a

cisnąwszy go na głowę swego towarzysza: — Wódki! zawołał, bo pić chcę, i gdy chciał znowu go uderzyć, Janek rzucił się ku niemu i obadwaj szamotać się zaczęli. Nie długo trwała ta nierówna bitwa, bo Jędruch wkrótce upadł na ziemię, a Janek splunawszy, usiadł w kącie izby.

Po chwili, dymisjonowany żołnierz zerwał się, a zato-czywszy się do drzwi, upadł powtórnie, rycząc przerażliwym głosem, a piana cuchnąca z ust jego toczyć się poczęła. Chociaż to się działo po północy, znalazło się jednak kilku pocziwych ludzi, którzy dowiedziawszy się o tym smutnym wypadku, ulitowali się nad okropnym stanem tego nieszczęśliwego człowieka, w którym tylko bliźniego swego widzieć chcieli, ale pomimo wszelkich środków, jakich na razie użyli, straszny ten człowiek, męcząc się, w okropnych konwulsjach wyzionął ducha. Przebrał on miarę w używaniu tego trunku, który popalił w nim wnętrzności i tak okropną śmierć sprowadził. Oto jest człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga; zrzekł się on swego Stwórcy, a oddawszy duszę czartu, a ciało pijaństwu, tak nędznie życie skończył.

Podczas gdy w karczmie stał się ten smutny wypadek, i zajmowano się ratunkiem Jędrucha, Janek choć był trochę podchmielony, nagle się wytrzeźwił i wybiegł z karczmy, a błądząc po polach, pomyślał sobie:

O jakież jest okropny koniec tego człowieka, z którym ja przestawałem! Czyż i mnie to samo ma spotkać? O nie! pójdę i padnę do nóg ojcu i przyrzeknę mu że będę pracował ile sił moich starczy, a gorzalki, co mnie już do te-

go doprowadziła, i do ust nie wezmę.“ I z tém postanowieniem zaczął zdążać do chaty.

My tymczasem wróćmy się do Macieja i do żony jego Katarzyny.

Leżała ona na łóżku z zamkniętymi oczami, a w rękę trzymała gromnicę zapaloną; przy jój łóżku siedział proboszcz miejscowy i czytał akty nad konającymi, w około siedziało kilka sąsiadek, które czuwały nad nią, w czasie jój choroby. W kącie zaś stał Maciej z oczami w żonę wlepionymi, a na twarzy jego boleść się malowała.

Gdy kapłan po udzieleniu chorój ŚŚ. Sakramentów, ukończył modlitwy, Katarzyna otworzyła oczy, a wymówiwszy: Jezus, Marya, Józef! Bogu ducha oddała.

Nie pomogły leki pocziwych sąsiadek o jój zdrowie troskliwych, ani zamówienia jakiejś tam baby, którą z drugiej wsi przyzwano; umarła pomimo to wszystko; widać że jaka była wola Pana Boga, aby jedno jeszcze nieszczęście spadło na głowę biednego Macieja, a on stojąc, ciągle oparty o ścianę, pokiwał tylko głową, a jako dobry katolik zgadzał się z wolą Boga, i nie szemrał przeciwko Jego sprawiedliwości.

Zaledwie sąsiadki, oczy zmarłej Katarzynie przymknęły, a Proboszcz stroskanego Macieja pocieszać zaczął iż o pogrzebie pomyśli, drzwi się zwolna otwarły i nieśmiało, z oczami na dół spuszczone, wsunął się Janek do izby; rzucił on okiem na łóżko, a zmiarkowawszy co się stało, padł jak długi do nóg ojca, i rzewnie płakać zaczął, a ulżywszy sercu swojemu, i wypłakawszy się, smutnym rzekł głosem:

„Przysięgam ci ojcze, że od dziś wszystkimi siłami

pracować będę, a za moje grzechy całe życie będę żałował; nie zasługuję na to, abyś mnie synem nazwał, bom cię mocno rozgniewał, ale uczyni mnie ojciec sługą swoim i przebac mi com ci złego wyrządził.

„Oby Bóg dobry dozwolił, przemówił ojciec, abyś dotrzymał twojej obietnicy. A proboszcz który był przy tém, korzystając z tego, w te słowa do Janka przemówił:

„A ja mówię do ciebie imieniem matki, którą do grobu swoim złem postanowieniem wpędziłeś, że jeżeli się nie poprawisz i jak dawniej aż dotąd robić będziesz, przekleństwo umierającej matki i kara Boża prześladować cię będą i marnie zginąć musisz. Widzisz jak wielkie jest miłosierdzie Boskie, iż poznałeś jeszcze że źle robisz; wyrzeknij się więc wszystkiego, co cię do złego prowadzi, a pracując szczerze i z ochotą, Boga powinienes chwalić i wielbić, i ojca z całej duszy miłować, a Bóg dobry zapomni ci wszystkiego, coś złego w życiu uczynił, i ludzie kochać cię jeszcze będą.

Tu Janek przejęty mową czcigodnego kapłana, padł mu do nóg i przeproszać zaczął, a po wyjściu księdza, jeszcze raz ojcu przyrzekł poprawę, szczęśliwy, że z tak zgubnej drogi jaką iść zaczął, do pocziwego życia się powrócił; widać, że modły konającej matki sprawiły to u Boga, iż czuwał nad nim i rozum jego oświecił.

Na trzeci dzień po tym wypadku, dzwonek kościelny oznajmił mieszkańcom wioski rozpoczęcie pogrzebu, a wszyscy włościanie odprowadzili ciało zmarłej Katarzyny na cmentarz miejscowy. Pocziwy proboszcz, który z każdej sposobności korzystał, aby siać słowo Boże między ludem, przemówił nad grobem o pobożnem i bogobojuem

życiu zmarłej, o zgubnych skutkach pijaństwa, a w końcu przytoczył wyjątek z Ewangelii Śtej o Synu marnotrawnym. Mówił długo, a mowa jego tak była miła, że wszyscy z zajęciem słuchali, w końcu szczerze się popłakawszy, rzucili po garstce ziemi, na trumnę nieboszczki, wypełniając ostatnią posługę, i rozeszli się do domów, chwając Boga.

Dotrzymał nasz Jacek obietnicy, w dzień śmierci Matki ojcu danęj; wziął się szczerze do roboty, i Bóg pobłogosławił jego pracy, a w kilka lat, domek w którym się urodził, odbudował i wybielił; skrzynie już nie są puste, jak to kiedyś było, bo w nich jest pełno legumin, stodoła pełna zboża, a grosiwa sobie na wszelki przypadek uciukał.

Upatrzył on sobie dziewczuchę przystojną i skromną, a była to córka poczciwego Jacka, imieniem Basia, co tak lubił w pomoc bliźniemu przychodzić.

Posłał on za pozwoleniem ojca swego swatów do rodziców dziewczyny, a gdy się na to zgodzili, dawszy na zapowiedzie temu samemu księdzu co matkę jego pochował, ożenił się z Basią w parę tygodni, i do domu ojcowskiego wprowadził. Pracował on też szczerze i ochoczo, i o starym ojcu pamiętał i szanował go, a błogosławieństwo Boże spłynęło na dom jego, i w dzieciach, których miał kilkoro, okazała się Opatrzność Boska.

A tak sprawdziła się przepowiednia Michała, bo choć Bóg starego Macieja zasmucił synem i śmiercią żony, to przecie i pocieszył, bo i syn jego się upamiętał i poprawił, i ojciec jego wnuków się doczekał.

Właściciel wsi téj, zamknął karczmę, a z funduszu jaki sam przeznaczył i ze składki we wsi zrobionéj, odnowiono starą karczmę, którą potem Proboszcz poświęcił, przyjęto nauczyciela i założono szkołkę; a dzieci z całej wsi uczą się jak Boga trzeba chwalić i przekonali się ludzie, że umiejac czytać, można się z książki czegoś pożytecznego nauczyć. A gdy przyjdą święta jakie, czy to Wielkanoc, czy Boże Narodzenie, to nabożny lud gromadzi się w kościele, a dziatki modląc się na książkach, śpiewają pieśni nabożne, które Bóg dobry zawsze wysłuchuje, bo we wsi gdzie mieszka bogobojność, cnota i rozum, tam żadna zła myśl nigdy się nie wkradnie, bo i nie ma czasu źle robić, a Bóg co wszystko widzi, wie o tém, i łaski swoje z błogosławieństwem zsyła.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

	str.
1. Oko Boże.	1
2. Złotowierzba i słoma.	3
3. Jaskółka.	4
4. Jabłko.	5
5. Dwaj bracia.	5
6. Srebrne drzewo.	6
7. Orzech.	9
8. Dynia i żołądź.	10
9. Hufnal od podkowy.	10
10. Pokusa.	14
11. Cudowna skrzyneczka.	15
12. Żebraczka.	17
13. Świadek nadzwyczajny.	19
14. Dąb.	22
15. Pożar.	24
16. Król kumem.	28
17. Powódź.	36
18. Chata Maciejowa.	45
